



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Janina Kozłowska

Moje przygody wojenne

Mój tata, Bolesław Olszewski, przyszedł na świat 21 sierpnia 1909 roku w Bronowie (nieдалeko Wizny, w powiecie łomżyńskim), gdzie mieszkał aż do śmierci. Jego dom mieścił się przy ulicy Młyńskiej 12. Mamusia – Bronisława z domu Pruszkowska – była dwa lata starsza od niego. Urodziła się 5 października 1907 we wsi Chojane.

Ja urodziłam się 20 września 1931 roku w Bronowie i tam mieszkałam ze swoim tatusem. Z dzieciństwa zapamiętałam jedną scenę. Rodzice się kłócili. Nie mogłam tego znieść. Poszłam na korytarz, gdzie było ułożone drewno do palenia, wzięłam jeden kawałek, podeszłam do taty i uderzając go w nogę krzyknęłam:

– Przestańcie się kłócić!

Rodzice byli tak zaszokowani moją reakcją, że zaniemówili na dłuższą chwilę i... rzeczywiście przestali. Później mama rozwiodła się z tatą i poślubiła Stanisława Pawelczyka. Zabrała ze sobą mego młodszego o 5 lat brata Janka (urodzonego w 1936 roku). W drugim małżeństwie przyszła na świat jeszcze córka Stanisława, nazywana do dziś Mirelką.

Nie pamiętam okresu okupacji sowieckiej. Jak wszystkie dzieci nie mogłam chodzić do polskiej szkoły. Dlatego też nasi rodzice postanowili opłacać nauczycielkę panią Orzechowską, która była naszą sąsiadką. Na tajne komplety uczyły nas ośmioro. Chodziliśmy do mieszkania nauczycielki na dwie – trzy godziny dziennie. Podczas naszej nauki zawsze jeden z rodziców dzieci pobierających naukę stał na tzw. czatach i pilnował, czy żandarmi z Wizny nie jadą do Bronowa. Kiedy tylko zauważył bryczkę, wpadał nas ostrzec. Każde dziecko zbierało wtedy swoje karteczki, na których pisaliśmy i uciekało do swego domu, aby nie narazić nauczycielki.. Nauczanie w języku polskim było karane przez Niemieckiego okupanta. Pani Orzechowska wkładała w swoją pracę dużo serca. Uczyła nas patriotyzmu. Pamiętam, że kiedyś na lekcji pisaliśmy wypracowania. Nauczycielka zebrała kartki, przeczytała je i podeszła do mnie mówiąc: „Żeby ta przekłeta wojna szybko się skończyła. Ty Jasiu jesteś tak inteligentna, że przewiduję, iż zajdziesz bardzo daleko”. Lubiałam się uczyć, mimo że nauka w warunkach wojennych była bardzo uciążliwa.

Mieszkaliśmy niedaleko młyna wodnego, który znajdował się w posiadaniu Niemca Langego. Prawie codziennie przyjeżdżali do niego w gościnę żandarmi. Zawsze musieli przejeżdżać koło nas i domu nauczycielki. Pani Orzechowska mieszkała bliżej młyna niż my. Kiedy jechali żandarmi i jak później siedzieli u Langego, myśmy nie wychodzili z domu, żeby nikt nie miał styczności z Niemcami.

Któregoś dnia przyszła do nas sąsiadka, aby upiec chleb w naszym piecu. Powiedziała, że u niej bardzo dymi. Rozpaliła ogień i wstawiła chleb. Okazało się, że u nas było jakieś pęknięcie w kominie

i zaczął się palić dom. Na nieszczęście był to okres żniwny i wszyscy byli w polu. Nasz dom spalił się cały zanim straż pożarna zdążyła przyjechać. Dość szybko przyjechała także żandarmeria. Spytała, kto jest właścicielem tego domu. Tatuś powiedział, że to był jego dom. Niemcy zapytali jeszcze, z kim mieszkał. Z córką – poinformował. W odpowiedzi usłyszał, że musi się meldować przez cały miesiąc wraz ze mną na żandarmerii w Wiznie. Do Wizny było siedem kilometrów. Musieliśmy tam chodzić co drugi dzień i meldować się. Zawsze był wzywany pierwszy tatuś, a po nim wołano mnie. Musiałam opowiadać, jak powstał pożar. W pokoju siedziało zawsze dwóch żandarmów. Jeden z nich był Polakiem – szucmanem.

Kiedy byłam przesłuchiwana po raz pierwszy, Niemiec wstał, podszedł do szafy, otworzył ją, z papierowej torby wziął garść cukierków i dał mi je. Przesłuchanie trwało około pół godziny. Jak wspomniałam, był to czas żniwny. Było bardzo gorąco i kiedy trzymałam w ręce cukierki, powoli rozpuszczały się. Przekładałam je więc do drugiej ręki. W pewnej chwili Niemiec zapytał mnie:

– Dlaczego nie jesz cukierków.

– Jak z panem rozmawiam, to nie mogę w tym czasie mieć w buzi cukierka – odpowiedziałam mu.

– Pozwalam tobie jeść, bo nim skończę przesłuchanie, to cukierki rozpuszczą ci się w ręce.

Cały miesiąc chodziliśmy na te przesłuchania. Zadawano nam te same pytania. Kiedy byłam przesłuchiwana ostatni raz, tłumacz powiedział:

– Już nie będziesz musiała więcej przychodzić, bo twój ojciec się przyznał, że pędził wódkę i od tego zapalił się dom. Radzę, żebyś to potwierdziła. Uprzedzam cię, abyś nie zdenerwowała komendanta.

Byłam przerażona, ale powiedziałam im tak:

– Nie wiem, dlaczego tatuś tak powiedział. Ale to nieprawda. Dom nasz się spalił od tego, że paliło się w piecu do chleba.

Niemiec przestał mnie dalej wypytywać. Jak tylko wyszłam z pokoju, gdzie nas zawsze przesłuchiowano, zaczęłam przyciszonym głosem robić tacie wymówki. Tatuś mi na to odpowiedział:

– Ja tego nie mówiłem. Dobrze, żeś nie dała się zastraszyć i powiedziała prawdę.

Po powrocie z przesłuchania tatuś podjął decyzję, że musimy wynająć jakiś pokoik. Po pożarze mieszkaliśmy u cioci Feli – prawie naprzeciwko naszego domu. Mieszkali u niej także jej rodzice, czyli moi dziadkowie. Dziadek był chory i leżał w łóżku. Tatuś poszedł na wieś, porozmawiał z jednym panem, który zgodził się nas przyjąć. Kiedy wrócił do domu cioci, powiedział:

– Jutro pójde do pracy, a ty pójdziesz to tego psiuta i zapytasz, kiedy możemy się przeprowadzić.

Kiedy tam szłam, myślałam, że ten pan ma dziwne nazwisko. Ale po chwili wytłumaczyłam sobie, że przecież ludzie mają różne nazwiska. Wszłam do domu i powiedziałam:

– Dzień dobry. Panie Psiuta, tatuś mnie przysłał zapytać się, kiedy możemy się przeprowadzić.

Mój rozmówca zdenerwował się i powiedział:

– Wynos się! Jeszcze się nie przeprowadziłaś, a już mnie przezywasz.

Zacząłam go przeproszać, że nie wiedziałam, że to przezwisko, ale on przeklinał i krzyczał na mnie. Uciekłam stamtąd czym prędzej. Pomyślałam w drodze, że muszę tatusiowi powiedzieć, że jednak powinien mnie poinformować, jakie facet ma nazwisko, a nie mówić o nim inaczej. Wróciłam do domu akurat na obiad. Tatuś spytał mnie: „No i co?”

– Tatusiu, dobrze, że on mi nie wkurzył – odpowiedziałam. – Tak się na mnie zdenerwował. Pewnie więc powiedziałam do niego przezwiskiem. To tatusia wina, że mi takie głupoty powiedział. Myślałam, że psiuta to jego nazwisko.

W tej sytuacji tatuś znalazł dla nas inne mieszkanie. Ciocia dała nam trochę pościeli, druga ciocia z kolei poratowała nas łyżkami, talerzami. Zacząłam w tym naszym pokoiku robić porządki. Najpierw zmyłam podłogę. Zamieszkaliśmy na nowym miejscu. Następnego dnia rano wchodzi Niemiec i polski szuman i mówią: „Chodź kopać rowy”. Kiedy wyszłam, przed domem stała spora gromadka ludzi. Zaprowadzili nas wszystkich nad rzekę Narew, która płynęła za wsią. Wymierzili każdemu z nas kijem dość duży odcinek i kazali kopać rów dla wycofującego się wojska, niezbyt szeroki, ale głęboki. Miałam wówczas trzynaście lat i taka praca była dla mnie ciężka. Codziennie chodziliśmy do tej roboty. O tej samej porze zbieraliśmy się koło remizy i szliśmy kopać. Kiedy już wykopano rów w Bronowie, wsadzili nas na samochody i wywieźli wszystkich do wsi Olszyny. Po kilku dniach podjęłam decyzję, że ucieknę stamtąd. Nocowaliśmy w stodole. Chodziliśmy po wodę do gospodarzy. Gospodyni widząc, że jestem najmłodsza w grupie, zaproponowała mi, żebym poszła na górę i schowała się do beczki. W razie gdyby mnie Niemcy odkryli, że mnie nie ma podczas liczenia i zaczęli szukać mnie lub w razie jakiegoś zamieszania, wypuszczą mnie. Ucieczka powiodła się bez przeszkód. Kiedy wszyscy ruszyli na okopy, po jakiejś godzinie przyszła gospodyni. Dała mi chleba, sera. Nakarmiona skierowałam się w stronę Bronowa. Kiedy wróciłam do domu, wszyscy, nie tylko tatuś, ale i ciocie, dziadek, byli szczęśliwi, że mi się to udało.

Tego samego dnia przyszła do nas znajoma z Łomży pani Rogalowa i zaczęła opowiadać o tych okopach. Bała się o mnie. Niemcy w każdej chwili mogli wpaść do domu i sprawdzić, czy tam jestem.

Powiedziała, że w Łomży nie łapią na okopy i nalegała, aby tatuś mnie puścił do niej. Ja zgodziłam się bardzo chętnie. Na drogę tatuś zapakował mi do koszyka to co miał: słoninę, mięso itp.

Następnego dnia wyruszyłyśmy obie do Łomży, oddalonej o 18 kilometrów od Bronowa. Podróż zniosłyśmy dobrze i dotarłyśmy bezpiecznie do miasta. Ale okazało się, że to nie była dobra decyzja. Mój dramat rozpoczął się na dobre dopiero teraz. W domu pani Rogalowej mieszkała jej mama i brat Witold Grzeszczuk. Mama była bardzo miła dla swojej córki. Pamiętam, że chodziła do lasu, skąd przynosiła zieleń i robiła piękne wianuszki na groby. Rano przechodziła zawsze koło cmentarza i ludzie kupowali od niej te wianki przez okrągły rok, a nie tylko na Wszystkich Świętych. Brat wyrabiał wiadra i bańki na mleko. Pani Rogalowa sprzedawała je po wioskach i w ten sposób cała rodzina zarabiała na chleb. Czułam się dobrze w tej rodzinie, ale już czwartego dnia po przybyciu moim do Łomży i w tym mieście zaczęły się łapanki. Zaczęliśmy sypiać w stodole, a w domu zostawała tylko mama pani Rogalowej. Pana Witolda odwiedziła narzeczona, która też mieszkała w Łomży i tego dnia została na noc u nich. Trzeba trafić, że jak wróciliśmy ze stodoły do mieszkania, po chwili pojawiło się dwóch Niemców. Zabrali ze sobą mnie i narzeczoną pana Witolda. Znalazłyśmy się w karniaku. Był to czerwony, duży budynek, w którym więziono Polaków. Nie zabrali nas do środka, tylko dołączyli do grupy ludzi stojących przed budynkiem. Wokół było pełno Niemców. Grupa Polaków stale się powiększała. Przyszło kilka kobiet. Każda z nich miała dzbanek i kankę, w której było mleko lub kawa. Niektórzy wlewali sobie. Niemcy, o dziwo, nie przeszkadzali.

Podjechał duży samochód i Niemcy wepchali do niego wszystkich Polaków. W tej grupie było sporo młodzieży i kiedy samochód ruszył, zamiast płakać, zaczęli śpiewać piosenkę. Pamiętam tylko refren:

Nad karniakiem ciemna mgła

Silny wicher ją rozwiewa.

Do roboty szła

Fabryczna dziewczyna.

Przywieźli nas do Jednaczewa. Zajechali do takiego dobrego gospodarza. W obejściu było duże podwórko i wielka stodoła, gdzie nocowaliśmy. Rano ustawialiśmy się czwórkami, szpadle na ramiona i jak wojsko maszerowaliśmy na duży plac. Tam dostawaliśmy śniadanie: chleb z margaryną i buraczaną marmoladę. Po skończonej pracy wracaliśmy na ten sam plac, gdzie w parnikach gotowano zupę. Jak otworzyli ten parnik, to zapach zupy roznosił się po całym placu. Zupa była bardzo smaczna i było w niej dużo mięsa. Gorzej było z jedzeniem. Jedna menażka przypadała na cztery – pięć osób. Nie dostawaliśmy talerzy. Zupa była bardzo gorąca, wprost ukrop i jak ktoś zjadł kilka łyżek, już drugi wydierał mu menażkę z rąk. Czas przeznaczony na spożycie obiadu był bardzo krótki i po prostu połowa ludzi nie zdążyła nawet spróbować posiłku. Często zdarzało się to i mnie. Bywało, że kiedy już dostałam menażkę do ręki i podchodziłam po zupę, krzyczeli, że koniec obiadu i już mi nie wleli zupy. Na naszych oczach przekręcali parnik i wlewali zupę na trawę. Potem fotografowali ten obrazek, żeby wyglądało, że Polacy tak się najadają. Patrząc na tę wylaną zupę na trawie i kawałki mięsa, miałam ochotę zebrać wszystko rękami. Ale to też nie było dozwolone. Wieczorem dostawaliśmy to samo co na śniadanie. Bywało tak, że się nie zjadło obiadu. Człowiek z głodu nie mógł zasnąć.

Kopanie rowów było bardzo ciężką pracą. Na wieczór całą grupę Polaków zamykano w stodole od zewnątrz. Kiedy ktoś chciał pójść do ubikacji, żandarm stojący na straży otwierał te drzwi. Zaczęliśmy mieć problemy z wszawicą. Nie myśliśmy się przecież. Ciągle marzyłam o tym, aby stąd uciec. Wiedziałam, że będzie to trudne. Jedna z kobiet powiedziała mi, że przy ubikacji przy ogrodzeniu od ogrodu trzecia sztacheta jest przymocowana tylko gwoździem u góry. Wystarczy ją więc odsunąć na bok i wtedy z powodzeniem można przejść na teren ogrodu. Zaczęłam namawiać panią Andzię, Narzeczoną pana Witolda, abyśmy spróbowały ucieczki. Odpowiedziała mi:

– Dzieciaku, ja się na to nigdy nie odważę.

Następnego dnia, gdy szliśmy do pracy, czekała na mnie pani Rogalowa. Podeszła do mnie. Powiedziała, że była u komendanta żandarmerii. Przyniosła mi miód i masło. Popatrzyłam na nią i zdębiałam. Wyglądała jakby była w ósmym miesiącu ciąży. Zapytałam:

– Co pani ze sobą zrobiła?

– Upozorowałam, że jestem w ciąży. Powiedziałam komendantowi, że mój mąż jest na robotach w Niemczech. Prosiłam go, aby cię zwolnił.

Komendant jej to nawet obiecał. Kazał jej zgłosić się za dwa dni. Kiedy przyszła, powiedział jej, że w Jednaczewie kończą się już prace przy kopaniu rowów. Będą trwały tylko do momentu wycofania się wojska. Żyłam tą nadzieją, ale jakoś byłam wewnętrznie przekonana, że nic z tego nie będzie.

Następnego dnia jedna z kobiet zakopała się w stodole w sianie i nie wyszła do pracy. Niemcy sprawdzali stan zawsze rano i wieczorem. Zobaczyli, że jej brakuje. Jeden z polskich szucmanów wszedł do środka i krzyczał:

– Niech pani wyjdzie, bo będziemy bagnietami dziobali i pani umrze.

Kobieta jednak nie opuściła swojej kryjówki. Niemcy zaczęli więc dziobać słomę raz przy razie i przebili jej szyję. Wynieśli ją na zewnątrz, położyli na deskach, a my musieliśmy obok niej przechodzić. Widok był okropny. Niemcy mówili do naszej grupy:

– Popatrzcie, co was czeka, jeżeli będziecie uciekać.

Przeżyłam to strasznie. Kiedy szliśmy do pracy ze szpadlami, skaleczyłam się w piętę. Szpadel mi wypadł. Przez całą drogę krwawiłam, aż na koniec jakaś kobieta podeszła do mnie i owinęła mi piętę chusteczką. Szłam obok młodej dziewczyny, którą cały czas namawiałam do ucieczki. Wieczorem, jak zwykle, zamknięto nas w stodole. Około 22.30 jedna z kobiet zapukała w drzwi i poprosiła, aby jej otworzyli. Kiedy wróciła powiedziała, że jest tak ciemno, iż nic nie widać. Znowu zwróciłam się do tej młodej dziewczyny i zaproponowałam jej:

– To dobra okazja. Zapukamy, żeby nas wypuścili do ubikacji, a potem spróbujemy ucieczki.

Dziewczyna wyraziła zgodę. Jak tylko wyszliśmy ze stodoły, od razu pobiegliśmy do ogrodu. Zaczęliśmy biec w stronę drogi. W pewnym momencie przewróciłam się o jakąś belkę i po chwili poczułam rękę jakiegoś mężczyzny. Złapał mnie za ramię. Niemcy szybko odkryli, że nas nie ma. Włączyli migające lampy. W ich świetle zobaczyłam, że w ogrodzie leżało wojsko niemieckie. Zaczęłam się trząść ze strachu. Niemiec po chwili puścił moje ramię. Poczułam się wolna. Po chwili w migającym świetle zobaczyłam, że płot już jest blisko. Przewróciłam się z całej siły na drugi bok. Poczułam drut kolczasty. Podarłam sobie ubranie. Zrobił się hałas. Żołnierze zerwali się. Dobiegając do drogi zobaczyłam kobietę z koszykiem stojącą pod drzewem. Już ją minęłam, kiedy zobaczyłam, że z naprzeciwka idzie gospodarz prowadząc konie. Z obu stron zbliżali się żandarmi. Podeszłam więc do tej kobiety i poprosiłam:

– Czy może pani pójść ze mną kawałek?

Gospodarz niósł w ręce wielką latarkę. Reflektory nadal działały i w tej ciemności można było zobaczyć najbliższą okolicę. Kobieta ruszyła razem ze mną. Podeszliśmy do gospodarza idącego razem z Niemcem. Z bliska zobaczyłam, że to komendant. Poznałam go po tym, że na zielonych spodniach miał naszyte białe, duże leje. Szłam, ale czułam, że nogi mi drżą. Koszyk wzięty od kobiety trzymałam na brzuchu, żeby przykryć rozdarłe ubranie. Kiedy uszłyśmy kawałek, kobieta spytała mnie, co robię o tak późnej porze. Odpowiedziałam jej, że uciekłam, bo zabrali mnie z Łomży do kopania rowów już trzy tygodnie temu. Obejrzałam się za siebie. Nie było już widać światełka latarki i Niemców. Powiedziałam wówczas towarzyszącej mi pani, że razem ze mną uciekła jeszcze jedna pani. Zapytałam, czy może ją zauważyła.

– Może to moja córka – odpowiedziała kobieta. – Cały dzień czekałam na nią pod drzewem i liczyłam, że jak będzie szła do roboty, to ją zobaczę. Wpadła w histerię i zaczęła krzyczeć – Ach mój Boże!

Prosiłam ją, aby była cicho. Ale to nic nie pomagało. Nadal wrzeszczała. Zdenerwowana rzuciłam w nią koszem. Masz babo placek. Zaczęłam więc biec co sił w nogach. Zatrzymałam się dopiero na końcu wsi. Weszłam do domu. W kuchni siedziało sporo osób. Pozdrowiłam wszystkich:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Czy zastałam gospodynię?

Odezwała się pani, dosyć ładna. Poprosiłam ją, aby pozwoliła mi posiedzieć gdzieś w kąciku do rana. Gospodyni zorientowała się od razu, że uciekłam z okopów. Byłam zdenerwowana i ze strachu zaprzeczyłam. Powiedziałam, że przyniosłam bratu jedzenie.

– Nie kłam. Wystarczy popatrzeć na twoje ubranie.

Na stole stała mała lampka karbidowa i w jej świetle obejrzałam, jak wyglądam. Gospodyni wyjaśniła mi, że źle trafiłam, ponieważ u nich mieszka Niemiec, który pilnuje osoby pracujące przy okopach. Za przetrzymanie kogoś, kto uciekł z okopów, groziła kula. Powiedziała, że nie może mnie przenocować.

Podeszłam wówczas do ślabanka, usiadłam na nim i oparłam mocno ręce na poręczy mówiąc, że gospodyni może mnie wyrzucić siłą, bo nie ma mowy, abym dobrowolnie wyszła.

– Pani ma też córki – dodałam – dwie dorosłe panny.

Wówczas jedna z nich wstała. Nazywała się Tosia i powiedziała do matki:

– Mamo, my pracujemy w kuchni u Niemców.

Wzięła do ręki lampkę i kazała mi pójść za nią. Wyszliśmy do sieni. Tosia zaprowadziła mnie do piwnicy, gdzie wszystko było przygotowane na wypadek ucieczki czy pożaru. Kazała mi wejść pod pierzyny i przesiedzieć do rana. Poczułam się nagle bardzo bezpieczna. Wtuliłam się w te tobołki i bardzo szybko zasnąłam. Zbudził mnie turkot przejeżdżających samochodów. Później ciągle słyszałam, jak jechały furmanki. Zaczęłam się bać, że to przybliżył się front. Wreszcie turkot ustał. Pół godziny później weszła do piwnicy Tosia. Zaczęła mnie ścisnąć: „Jesteś ocalona!”

Wyjaśniła mi, że dzisiaj wywieziono wszystkich ludzi, którzy kopali rowy. A było ich w sumie dużo. W dwóch stodołach nocowały kobiety, a w jednej mężczyźni. Powieźli ich pod Białystok. Te wszystkie informacje uzyskali od Niemca, który u nich mieszkał. Wpadł tylko do mieszkania, zabrał swoje rzeczy

i powiedział, że jadą do Białegostoku. Tosia wyprowadziła mnie z piwnicy. Poszliśmy do kuchni. Gospodyni powiedziała do mnie:

– Dziecko, Pan Bóg czuwał nad tobą, bo może po czterech godzinach od twego przybycia zaczęli wszystkich wywozić, a ty zdążyłaś uciec.

Tosia kazała mi zdjąć ubranie, aby mogła je pozszywać. Podałam jej swoją sukienkę. Chciałam jej powiedzieć, że jestem zawszona, ale się bałam. Kiedy włożyłam naprawione ubranie, podano mi mleko w dużej kwarcie i chleb. Smak mleka i chleba długo pamiętałam. To śniadanie było nadzwyczajne.

Po jakimś czasie do domu przyszło dwóch sąsiadów. Jeden z nich powiedział, że poprzedniego dnia wieczorem był u niego komendant z żandarmem i kazali mu zaprząć konie. Udali się do gospodarza, u którego w stodole nocowały kobiety kopiące okopy. Ale nie do tego, u którego ja nocowałam. Zorientowałam się po informacji, że w tej grupie była kobieta w ciąży, a u nas takiej nie było. Kobiety zaczęła rodzić. Nie wiadomo, czy był to poród przedwczesny czy w terminie. Niemcy nawet kobiety w ciąży zagonili do tak ciężkiej pracy!

Powiedziałam temu mężczyźnie, że mijalam go wczoraj wieczorem, jak szedł z komendantem. Odparł, że widział tylko kobietę z dziewczynką.

– To byłam ja.

Zacząłam więc mu opowiadać o moim spotkaniu z kobietą stojącą pod drzewem. Spytał mnie, skąd jestem. Odpowiedziałam, że Niemcy zabrali mnie z Łomży.

– Wiesz, są dwie możliwości powrotu do Łomży. Wystarczy dojść do szosy. Może droga nie jest zbyt bezpieczna, bo Niemcy mogą cię zaczepić. Na razie jednak ucichły łapanki na okopy. Druga możliwość to pójść od Jednaczewa przez konopie. Tylko, że w nich ukrywają się różni ludzie. Drugi z przybyłych sąsiadów absolutnie odradzał pójście przez konopie – w żadnym wypadku nie można tam puszczać młodej dziewczyny. Mogą ją zgwałcić. Zapadła więc decyzja, że będę wracała szosą. Gospodyni powiedziała, że mogę wyruszyć po obiedzie. Tosia zwróciła się do matki:

– Wiesz mamo, zawsze się bałam, że jak będą Niemcy wyjeżdżać, to mogą nas ze sobą zabrać. Może to Pan Bóg dał, że pomogliśmy się ukryć tej dziewczynce i to nas ocaliło. – a potem zwróciła się do mnie – Bóg musiał czuwać nad tobą. Nasz dom ma dwa wejścia. Gdybyś zastukała do drugich drzwi, natrafiłabyś na Niemca i byłoby tobie.

Opowiedziałam zebrany w izbie o mojej opiekunce z Łomży, która podrobiła sobie ciążę i przychodziła do komendanta, aby mnie zwolnił. Mówiąc to siedziałam przy oknie i mimowolnie obserwowałam drogę. Może pół godziny po tej rozmowie zauważyłam z daleka idącą kobietę, nakrytą chustą w czerwoną i czarną kratę, taką jak miała pani Rogalowa. Zerwałam się jak porażona prądem i zaczęłam biec w stronę tej kobiety. Poznałam ją, zanim do niej dobiegłam.

– Uciekłaś im czy cię zwolnili? – spytała mnie pani Rogalowa.

– Uciekłam – odparłam.

– Cokolwiek cię w życiu spotka, dasz sobie radę. Jesteś bardzo zaradna.

Wróciliśmy razem do gościnnego dla mnie domu. Pani Rogalowa dziękowała tym ludziom, że mnie przysparnęli:

– Nic wam kochani nie mogę za to dać. Zostawię choć ten słoik miodu, który niosłam dla komendanta. Kiedy go brałam z domu pomyślałam, że to już ostatni słoik. Nie miałam pojęcia, jak dalej będę go przekupywać.

Gospodyni nie chciała przyjąć takiego prezentu. Moja opiekunka jednak zostawiła ten słoik. Zjadaliśmy obiad wraz z domownikami. Potem gościnną gospodyni dała nam jeszcze na drogę chleba i sera. Ruszyliśmy obie w stronę Łomży. Pani Rogalowa pocieszała mnie, że nic nam nie zrobią. Nie zaczepią nas, jak zobaczą ciężarną kobietę. Do miasta dotarliśmy szczęśliwie. Mama mojej opiekunki bardzo się ucieszyła, że córka wróciła ze mną, natomiast pan Władysław był bardzo smutny. Niepokoił się o swoją narzeczoną, którą wywieźli razem z innymi do Białegostoku. Spytał mnie, czy jego narieczona nie mogła spróbować ucieczki razem ze mną. Odpowiedziałam, że jej proponowałam, ale tylko mnie skrzyżowała za taki pomysł.

Kilka nocy przespałiśmy spokojnie, bo nie było nowych łapanek na roboty. Byłam zawszona, więc zanim położono mnie do łóżka, wyrzucono na śmietnik dotychczasowe moje ubranie. Głowę myli mi kilkakrotnie, czesali gęstym grzebieniem, aby pozbyć się wszy. A miałam ich sporo. Kiedy się ich pozbywałam, czułam się jak w niebie. Tak mi było lekko.

Gdzieś po dziesięciu dniach powróciła spod Białegostoku pani Andzia, narieczona Witolda. Mieszkała w centrum Łomży, ale pomyślała, że u narzeczonego będzie bezpieczniejsza. Wkrótce zaczął nam dokuczać głód. Wszystkie zapasy się skończyły. Ten pan, u którego mieszkała pani Rogalowa, miał kawałek pola i maleńki ogród owocowy, więc dawał nam resztki jakichś warzyw, kartofli. Gotowaliśmy z tego zupy, ale jakie – pozał się Boże. Co to była za potrawa!

Przyszła do na sąsiadka i powiedziała, że do młyna lub do spichrza zwożone było zboże. Nie wiadomo, czy to Niemcy pozwolili czy też ludzie sami się rzucili na te zapasy. Czym kto miał to nabierał sobie żyta. Sąsiadka się też wybierała i namawiała, aby z nią ktoś od nas poszedł. Starsza pani nie

wypuszczając syna na krok. Pani Rogalowa powiedziała, że nie pójdzie. Poszłam więc z panią Andzię. Wzięłyśmy z sobą poszewki z poduszek, bo w domu nie było żadnych worków. W drodze pomyślałam sobie, że pani Rogalowa udawała, że jest w ciąży, żeby mnie wydostać. Teraz jednak pchają mnie w niebezpieczeństwo. Na szczęście udało nam się bez przeszkód przynieść tego zboża w poszewkach. Gotowało się go w garnkach. Pamiętam, że bardzo napęczniało w wodzie i ziarna były duże. Za jakieś dwa dni przyszła do domu elegancka pani. Powiedziała:

– Wiem, że wszyscy cierpią głód. Mam dużo smalcu ze skwarkami w kamieniakach, więc może ktoś pójdzie ze mną i weźmie.

Wszyscy ucieszyli się w jej propozycji. No i znowu dyskusja, kto z nią pójdzie. Znowu padło na Jankę, czyli na mnie. Na szczęście pani ta mieszkała niedaleko. Poszłam z nią. Wyniosła mi dość spory kamieniaczek. Podziękowałam i wyszłam. Po drodze palcem dziobałam te skwarki i jadłam. Zanim doszłam do domu, wyjadłam sporą dziurę. W domu nawet nie skarcono mnie za to łakomstwo. Mogliśmy teraz urozmaicać jedzenie. Wkładaliśmy do garnka z naparzoną żywą łyżką smalcu, co w zdecydowany sposób poprawiało smak potrawy.

Front się przybliżał. Zaczęło się bombardowanie Łomży. Wiele osób, łącznie ze mną i panią Andzię, wybrało się jeszcze raz po żyto, żeby zrobić trochę zapasów. Akurat kiedy wychodziłyśmy z pełnym powłóczkami, zaczął się nalot. Gdzieś blisko przeleciał pocisk z takim impetem, że przewrócił nas. Prawie całe zboże mi się wysypało. Wróciłyśmy więc z mizernymi łupami. Już więcej nie wysyłano nas po zboże.

Naloty nasilały się z każdym dniem. Znowu zaczęło się spanie w piwnicy. Bombardowanie trwało dwa tygodnie. Noce były tak jasne, że można było znaleźć igłę. Płonął duży tartak w mieście. Widzieliśmy wielką lunę. Te dni to prawdziwe piekło. Tak było cały czas przez te dwa tygodnie. Dzień i noc trwały naloty. Piwnica, w której się ukrywaliśmy, była wybudowana oddzielnie, a nie pod domem. Mieściło się w niej sporo ludzi. Wszyscy się modlili. Zawsze zaczynali od odmówienia litanii do Matki Boskiej. W tym piekle powoli ludzie tracili nadzieję na przeżycie i modlili się o szczęśliwą śmierć. Doszło do tego, że i ja zaczęłam tak się modlić. W pewnym momencie przerwałam i zwróciłam się do Boga mówiąc, że tyle już przeszłam i że chcę żyć.

Wieczorem naloty ucichły. Weszliśmy do domu coś zjeść. Nagle drzwi się otworzyły i weszło dwóch Niemców. Kiedy ich zobaczyłam, okropnie się przestraszyłam. Niemcy zawsze chodzili z szucmanem, który znał język polski. Szucman powiedział nam, że tak jak teraz stoimy, tak mamy iść za rzekę nic nie zabierając ze sobą. Nawet się w pierwszej chwili ucieszyłam, że jak uda mi się przejść, to znajdę się bliżej swojej rodziny.

Wszyscy wyszliśmy z mieszkania na ulicę. Tam już był tłum ludzi. Popędzili do zambrowskiego rynku. I znowu nadleciały samoloty i zaczęły zrzucić bomby. Cały tłum rozpiechł się. Każdy rzucił się w swoją stronę. Trzymałam się starszej pani. Schowałyśmy się w piwnicy. W nocy był straszny nalot. Co jakiś czas mężczyźni wychodzili i nasłuchiwali, co się dzieje. Jeden z nich wrócił i powiedział, że chyba rozpoczął się szturm, bo słychać straszny krzyk. Rosjanie strzelali z katuszy z okopów, które myśmy kopali. Słychać było także krzyk „hurraa” – bardzo głośny. Rosjanie mieli taką swoją metodę, że tym krzykiem zwiększali postrach. Miało się wrażenie, że jest ich dużo więcej.

Kiedy rano wstaliśmy i wyszliśmy z piwnicy, powiedziano nam, że Rosjanie zdobyli Łomżę. Wylegliśmy na ulicę. Rzeczywiście, zobaczyliśmy jadące wojsko ruskie i polskie. Radość wśród ludzi nie miała granic. Ruskiego wojska było więcej, ale od czasu do czasu jechał samochód z polską chorągiewką. Żołnierze zaczęli chodzić po ulicach. Często wychodziłam na ulicę, aby zobaczyć polskiego żołnierza. Kiedy tak stałam przed domem zobaczyłam dwóch hitlerowców. Byli ranni, na głowie mieli zaschniętą krew. Jeden podtrzymał drugiego i tak się razem wlekli. Pytali o coś po niemiecku. Domyśliłam się, że chodzi o szpital i pokazałam im ręką kierunek. Po raz pierwszy zrobiło mi się żal niemieckich żołnierzy. Pomyślałam sobie, że jeden z nich uratował mi życie, kiedy złapał mnie w ogrodzie i puścił wolno. Gdyby nie ten Niemiec, nie byłoby mnie już na świecie.

Pan Witek poznał dwóch żołnierzy rosyjskich i przyprowadził ich do domu. Jeden z nich był lejtnantem (podporucznikiem), a drugi chyba szeregowcem. Witek dał starszemu rangą wodoszczelny zegarek. Ruski bardzo się ucieszył i powiedział, że za kilka dni będą nas ewakuować, Niemcy bowiem okopali się w fortecy, ciągnącej się kilometrami nad Narwią. Chcąc go usunąć z tych fortów trzeba użyć wielkiej siły. Nie można więc narażać cywilnej ludności. Wolno nam będzie wziąć bardzo mały bagaż. Rosjanin stwierdził też, że jak zajęli Łomżę, to bardzo mało ludzi było w mieście. Niemcy zdążyli ich wysiedlić. Ruski napisał dwie kartki i powiedział, aby jedną dać ruskim, jak przyjadą samochody. Napisał na niej, aby poczekać na jego przyjazd. Drugą napisał dla żołnierza stojącego na warcie w tym budynku, w którym on mieszkał. Na podstawie tego listu mieliśmy otrzymać pościel i inne rzeczy. Zbliżała się już jesień i robiło się chłodno. Kiedy żołnierze odeszli, znowu zaczęła się dyskusja kto pójdzie z tą kartką. Z tą drugą należało pójść gdzieś ze dwa kilometry. Byłam przekonana, że znowu wypadnie na mnie. I nie omyliłam się. Po kilku dniach wysłali mnie. Podprowadzili mnie pod taką polanę, którą nazywano maneżą. Dalej biegła polna dróżka. Powiedzieli mi, abym nią szła, aż zobaczę

duży biały budynek z dwoma lwami na ganku. Tam właśnie mieściła się komendantura rosyjska. Kazali mi szybko biec. Bałam się, że ruscy mogą odjechać i biegłam ile tchu. Dotarłam do opisanego budynku i podałam kartkę żołnierzowi na warcie. Kazał mi zaczekać, a sam wszedł do środka. Po chwili wyszedł lejtnant, który tę kartkę napisał i powiedział:

– No, poszli.

Szedł pierwszy, a ja jakieś pięć metrów za nim. Obrócił się do mnie i pyta:

– Uże ustała?

– Ja nie ustalam, tylko idę – odpowiedziałam mu.

On jeszcze raz powtórzył swoje pytanie, a ja mu odpowiedziałam tak samo. Dopiero później dowiedziałam się, że po rosyjsku ustali – znaczyło, czy jestem zmęczona.

Doszliśmy do naszego domu. Ruskie w międzyczasie załadowywali sąsiadów. Lejtnant podszedł do nich, porozmawiał i ci zaczęli wynosić nasze rzeczy na samochód. Nawet sporo wynieśli i załadowali. Potem powiedział do moich opiekunów:

– Nina maładiec.

Podał rękę Witkowi i powiedział: „Szczastliwowo puti.” Samochód ruszył w kierunku Zambrowa. Po jakichś trzech kilometrach stanął i żołnierze wszystkie te nasze rzeczy wyłożyli do rowu. Jak człowiek spojrzął, to daleko w rowach było pełno różnych bagaży, a przy nich wysiedlani Polacy. Wszyscy pytali się wzajemnie, co będziemy robić w tym rowie. Powiedziano nam, że każdy gospodarz z pobliskiej wioski Zaruzie ma wziąć do siebie jedną rodzinę. I rzeczywiście – gdzieś po dwóch godzinach zaczęły się pojawiać furmanki. Jechał wóz za wozem. Chłopi byli zdziwieni, że pozwolono nam wziąć tak duże bagaże ze sobą. Jeden z gospodarzy podjechał do nas, pomógł zapakować wszystko na wóz i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Powiedziałam pani Rogalowej, że nasz nowy opiekun musi być dobrym gospodarzem. Na pytanie, dlaczego tak myślę, odpowiedziałam, że ma takie piękne konie. Zajechaliśmy na podwórko. Podwórze duże, zabudowania piękne, dom prawie nowy. Gospodarz podjechał pod spichlerz i powiedział, że tu będziemy mieszkać. Weszliśmy do środka ze wszystkimi tobołkami. Wewnątrz były trzy zagrody, jedna przeznaczona na zboże, ale już prawie pusta. Nasz nowy gospodarz zawołał Witka i razem przynieśli ze stodoły dwie duże kule słomy. Włożyli w jedną zagrodę i już mieliśmy miejsce do spania. Była także przygotowana mała kuchenka, rury do opalania podłączone do okna spichlerzowego. Po jakimś czasie przysłała gospodyni i przyniosła nam bochen chleba i dzban mleka. Mieliśmy gościnę w nowym domu. Jeszcze spytała nas, czy mamy jakieś zapasy żywności. Odpowiedzieliśmy, że praktycznie nic nie mamy. Było w węzełkach trochę żyta. Powiedziała nam, że po niedzieli zaczynają kopać ziemniaki. Jeżeli chcemy, możemy im pomóc. W zamian za to będziemy otrzymywać jedzenie.

Na podwórku stała studnia, ale nie wolno było jej używać. Wojsko brało z niej wodę i przez cały czas, nawet nocą, pilnował jej żołnierz. Następna studnia była spory kawałek od tych zabudowań. Zawsze chodziłam po wodę. Któregoś dnia żołnierz stojący na warcie zawołał mnie i powiedział:

– Prichodzi do tej studni po wodę.

Problem miałam więc rozwiązany. Nie mogłam tylko podchodzić zbyt blisko studni. Żołnierz sam brał wiadro i czerpał. Któregoś dnia zobaczyłam, jak przyjechał lekarz brać próbki wody. Podeszłam wówczas z wiadrem i on mnie spytał, dlaczego ja przychodzę po wodę. Żołnierz mu wytłumaczył, co już wszyscy wiedzieli, że jestem u obcych ludzi i że jemu mnie szkoda. Lekarz nic na to nie odrzekł.

Na podwórku leżało sporo bali. Zawsze siedziało na nich kilku żołnierzy rosyjskich. Kiedy przechodziłam obok nich, starszy stopniem wyjął mapę, popatrzył na nią i powiedział:

– Ninka, nasze zaniały Mokre, Jobacze i Suche Jobacze.

Zaczęłam się śmiać. Wtedy on ze złością spytał, o co mi chodzi. Powiedziałam mu, że źle wymówił nazwy miejscowości:

– To są Suche Bacze, a nie Jobacze.

Później się dowiedziałam, że ten Rosjanin był na mnie obrażony. Oni nie lubią, jak się z nich śmieje. Już tego więcej nie robiłam.

Gdzieś kilometr od wioski był las. Tam stacjonowało ruskie wojsko. Mieli tam swoją kuchnię. Na brzegu lasu można było zbierać drewno na opał. Chodziliśmy w trójkę: pani Rogalowa, Andzia – Narzeczona Witka i ja. Wiązaliśmy drewno w paczki i przynosiliśmy do spichlerza. W ten sposób mieliśmy swój opał. Pani Rogalowa dowiedziała się, że Rosjanie mają w lesie kino i wyświetlają filmy. Ruscy powiedzieli nam, że jak chcemy obejrzeć film, to możemy przyjść, ale tylko wieczorem. Witek z narzeczoną nie mieli ochoty tam pójść. Pani Rogalowa chciała mnie wziąć ze sobą. Zaczęła się szycować i mnie też kazała. Jej mama, pani Grzeszczakowa stwierdziła:

– Nigdzie Janki nie weźmiesz. Jeśli chcesz iść, idź sama.

Jej córka sprzeciwiła się temu, bo chciała pójść ze mną na film. Pani Grzeszczakowa zawołała Wiktora:

– Wiktor, Antosia chce zabrać Jankę na film.

Wiktora w ogóle nie obchodziłam. Stał po stronie matki. Starsza pani tak się zdenerwowała, że uderzyła córkę w twarz. Byłam przerażona. Jak to, bije 40-letnią kobietę?! a pani Grzeszczakowa powiedziała do córki:

– Wyciągnęłaś dzieciaka od ojca. Wiesz, ile już ta dziewczyna przeszła, a ty jeszcze ciągniesz ją wieczorem do lasu. Przecież ruskie mogą ją zgwałcić.

Dopiero teraz zrozumiałam intencję pani Grzeszczakowej. Wcześniej nie mogłam zrozumieć, dlaczego była przeciwna mojemu pójściu na film. Zapanowała cisza. Po jakimś czasie pani Rogalowa przeprosiła matkę. Czułam się nieswojo, że to przeze mnie wybuchła taka awantura.

Następnego dnia zaczęły się wykopki. Było nas sześć osób. Każdy zajął się swoją skibę. Musiałam dorównać dorosłym w pracy. Z kopaniem jakoś sobie radziłam, gorzej było z wysypywaniem koszy pełnych ziemniaków. Były one bardzo duże. Oczywiście chodziliśmy po dwie osoby – ja z narzeczoną Witka. Pani Rogalowa tłumaczyła się tym, że nie umie kopać, a Witek to był chłopak do dekoracji, a nie do pracy. Odważyłam się poprosić panią Andzię, żeby pomogła mi wysypać ziemniaki z kosza, ale odmówiła. Jak podnosiłam kosz do góry, to czułam, że mi się wszystko wewnątrz urywa. Jak miałam szczęście i trafiłam, że akurat przechodził gospodarz, to wtedy brał ode mnie kosz i sam wysypywał. Dostawaliśmy od gospodarzy śniadanie, obiad, a na wieczór otrzymywaliśmy swój zarobek: dwa litry mleka, kosz kartofli, zaś na niedzielę kawałek mięsa na obiad.

Jak się tych koszy nadźwigałam przez cały dzień, to potem bolał mnie brzuch, ale ciągnęłam dalej robotę. Kopanie trwało dwa tygodnie. Razem z nami pracowała na zarobek panienka, blondynka. Miała śliczne włosy. Kiedyś mnie zapytała:

– Czy ciebie matka nie żałuje do takiej harówki?

– To są obcy dla mnie ludzie. Moi rodzice są po drugiej stronie Narwi. Pod Niemcem.

Opowiedziałam jej o tym, jak się tu znalazłam. Panienka powiedziała, że się wybiera po kopaniu do wsi Chojane Piecki do kuzynów w odwiedziny. Z tej wsi pochodziła rodzina mojej mamy. Wiedziałam, że mieszka tam moja ciocia. Nie była tylko pewna, czy mnie przyjmie. Tym niemniej prosiłam tę panienkę, aby odwiedziła moją ciotkę Annę Choińską. Była ona już wówczas wdową, miała troje dzieci. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że w tym właśnie czasie moja mama była u tej ciotki. Dziewczę wybrało się do wsi Chojane Piecki, a dopiero tam na miejscu okazało się, że poszła do innych naszych kuzynów – Kalinowskich. Były tam dwie dziewczyny. Po przyjeździe gościa we trzy usiadły na ganku i zaczęły śpiewać. Przechodziła moja mama i tak powiedziała do nich:

– Ja też miałam córkę Jankę, która całymi dniami śpiewała, a teraz nawet nie wiem, gdzie ona jest i czy ją jeszcze zobaczę.

Wtedy odezwała się ta dziewczyna, z którą pracowałam przy wykopkach:

– Ale ta wojna porobiła. U nas we wsi jest dziewczyna u obcych ludzi. I też ma na imię Janka. Nawet prosiła mnie, żeby odwiedzić jej ciotkę – i tutaj podała nazwisko.

Wówczas mama się rozplakała i powiedziała, że to jej córka. Kiedy się dowiedziała, że dziewczę wraca za dwa dni do swojej wsi, poprosiła aby ją wzięła ze sobą.

Myśmy codziennie chodzili na wykopki. Nie było czasu, aby uzupełnić zapas drewna na opał. Któregoś dnia po obiedzie wybraliśmy się do lasu. Nazbieraliśmy i wracaliśmy z pęczkami na plecach. Z naprzeciwka szły dwie kobiety. Najpierw poznałam tę panienkę, z którą razem kopałam ziemniaki, a później w tej drugiej kobiecie rozpoznałam swoją mamę. Rzuciłam więc swój pęczek i pobiegłam się z nią przywitać. Radość moja nie miała granic. Już nie była sama. Wróciliśmy razem do domu gospodarzy. Mama przenocowała razem z nami. Przeszła około 40 kilometrów. Wczesnym rankiem wybrałyśmy się obie w podróż. Pani Grzeszczakowa mówiła do mamy:

– Baliśmy się o zdrowie Janki, czy nie zachoruje na gruźlicę. Jest taka chuda. Może u pani będzie miała lepsze warunki i się poprawi.

Pożegnałam się z nimi, podziękowałam za opiekę i pod wieczór już byłam u mamy na jej ojcowiźnie. Kiedy weszłam do mieszkania, ku mojemu zdziwieniu zobaczyłam w nim sąsiadów Szymańskich z Bronowa z całą rodziną, czyli dwiema córkami z jedną z nich chodziłam do szkoły. Był jeszcze jakiś pan, krewny Szymańskich, którego wcześniej nie widziałam. Okazało się, że oni wszyscy mieszkają u cioci. Razem przebywało w domu jakieś 10-13 osób. I wszyscy gnieździli się w dwóch pokojach. Co najgorsze, wszystkie dzieci miały świerzb. Po paru dniach i ja się zaraziłam od nich.

Mamusia dowiedziała się, że niedaleko przyjmuje ruski lekarz i wszyscy poszli do niego. Lekarz obejrzał nas. Na pytanie, czy to świerzb, odpowiedział twierdząco. Dostaliśmy od niego duży słoć z maścią. Była okropna, śmierdziała wiechciem. Zaczęliśmy kurację, ale trudno w takich warunkach było walczyć ze świerzmem. Nie było mydła. Prano w ten sposób, że wybierano popiół do dużego garnka i zalewano go gotowaną wodą. Później precedzano przez szmatę. W tej wodzie prano. Co to było za pranie. Wszystko było zapuszczone niemilosiernie. Kiedy nadchodził wieczór, przynoszono słomę i rozścielano ją po całym pokoju. Nakrywaliśmy się kocami, derkami, czy też swoimi ubraniami. Dla mnie na podłodze nie starczało miejsca, więc spałam na kufereku. Kuferek był nieduży, górę miał

wypukłą, więc o wygodach nie było mowy. Spałam zwinięta w kłębek, nakryta jakimś sukniem. Takie były uroki wojny.

Co jedliśmy u cioci w tych ciężkich czasach? Dwóch mężczyzn w stodole młóciło zboże cepami. Później w żarnach mieli. Dwa razy w tygodniu ciocia piekła chleb. Sporo tych bochenków wyjmowała z pieca. Tylko że przy tak dużej rodzinie znikają one dość szybko. Moja mama ze swoim drugim mężem, Stanisławem Pawelczykiem, chodziła po gospodarzach. Oboje szyli serdaki ze skór owczych i różne inne rzeczy. Za swoją robotę otrzymywali słoninę, mąkę. Wynagradzani byli tym, czym dysponowali gospodarze. Z kolei syn cioci – Franek chodził z tymi panami do lasu i czasami udało im się coś złapać we wnyki. Ciocia, aby wszystkich nakarmić, wyróżnęła wszystkie owce.

Ta wojenna „rodzina” mieszkająca w domu cioci liczyła 13 osób, w tym pięciu mężczyzn. Wszyscy jedliśmy z jednego garnka. Gotowano tylko zupy. Innych potraw nie jedliśmy. Często te zupy były postne, nie miały nawet zasmażki. Pamiętam taki jeden wieczór, kiedy powiedziano, że na jutro nie ma nic, z czego można zrobić obiad. Syn cioci, 15-letni chłopiec, coś poszeptał z tymi panami i w trójkę wyszli. Wzięli ze sobą baterijkę i worek. Byliśmy bardzo zaintrygowani, co oni chcą zrobić. Panowie poszli do stodoły, zrobili w worku otwór i do środka wsadzili zapaloną latarkę. Wzięli ze sobą duże kije. W stodole było dużo wróbla. Kiedy zaczęli tłuc tymi kijami, wróble wpadały do worka. Niewiele ich złapali, ale wrócili z mięsem. Wypatroszyli ptaki. Brzmi to teraz nieprawdopodobnie, ale tak było. Na drugi dzień na tych wróblach ugotowano zupę.

Niedaleko mieszkała ciocia Kalinowska. Kiedy u nich w domu zabili świniaka, ciocia przyniosła tłuszczu, słoniny. Mieliśmy jedzenia na tydzień, albo i więcej. Ciężko było nam wszystkim wówczas, ale w głębi duszy cieszyłam się, że wokół nas nie rozrywają się pociski. Było chłodno, głodno, ale bezpiecznie i wśród swoich.

Kiedy mama szła z mężem na zarobki, opieka nad moją młodszą siostrą spadała na mnie. Brałam ją i szłam do cioci Kalinowskiej. Zawsze nas czymś poczęstowali. Ciocia mówiła:

– Jeżeli bym coś do jedzenia zaniósła do cioci Choińskiej, to praktycznie nikt by się nie najadł. A jak przyjdiesz ze Stasią, to my nie odczujemy tego w ogóle, a wy obie się najecie. Nie będzie dla nas uszczerbkiem jak zjecie po talerzu zupy.

Ciocia Choińska, jak już wspominałam, miała dwie córki, starsze ode mnie. Akurat wówczas skończyłam czternaście lat. Moje urodziny wypadały we wrześniu. Czasami razem z nimi pośpiewałam sobie i zawsze wracając od nich byłam bardzo zadowolona.

Kiedy spaliśmy, jeden z mężczyzn podkładał pod kuchnię, aby ogień nie zgasł. Nasze nakrycia nie dawały wcale ciepła. Żeby się ogrzać, trzeba było palić pod kuchnią. Wtedy było nam ciepło przez całą noc. Wymagało to wysiłku, ale przynajmniej nie marzliśmy.

Kiedy przyszły mrozy, rzeka zamarzła. Wtedy Rosjanie ruszyli do ataku. Przełamali front i wypędzili Niemców. Pierwsi opuścili mieszkanie cioci Choińskiej państwo Szymańscy i jeden pan z nimi. Ruszyli do Bronowa. Pan Szymański, jak tylko przyszli na miejsce, poszedł do mojego tatusia i powiedział, że jestem w Chojanych Pieckach. Po kilku dniach tatuś przyszedł po mnie i razem wróciliśmy do Bronowa.

Podróż była najbardziej przykra ze wszystkich. Kiedy opuszczaliśmy wioskę, tatuś wziął dwa kije, jeden dla siebie, drugi dla mnie. Gdy zapytałam po co one nam, odpowiedział, że powie, jak wyjdziemy na Biele. A te Biele to były łąki. Okazało się, że były zaminowane. Wprawdzie saperzy rozminowali wąską ścieżkę, ale cała powierzchnia była przykryta śniegiem. Zapalniki min były widoczne gołym okiem. Jak szliśmy, co jakiś czas miny wybuchały. Albo jakiś pies, albo inny zwierzak przebiegał i Natknął się na minę. Były też wypadki, że i ludzie tu ginęli. Tatuś mi wytłumaczył, że gdybym usłyszała jakiś wybuch, to mam nie skakać ze strachu, tylko dobrze się oprzeć na tym kiju, aby pozostać w tym samym miejscu. Tatuś szedł pierwszy, rozglądał się wokoło, a ja stawiałam kroki na jego śladach. To był bardzo męczący marsz. Wreszcie dotarliśmy do Bronowa. Wioska była zniszczona. Wszyscy się ucieszyli z mojego przybycia. Mówili mi, że widzieli wielką lunę na niebie jak bombardowali Łomżę i już nie mieli nadziei, że w tym piekle przeżyją. Przyszła ciocia Grabowska i mówi:

– Janka, ty nie masz pojęcia, jak się Józef ucieszył.

Wujek Grabowski był moim chrzestnym i bardzo go lubiłam. Ciocia powiedziała jeszcze, że dłuższy czas zejdzie, nim podniesiemy głowy po tej wojnie. I im i cioci Reginie zabrali krowy. Na szczęście jedną zostawili mojemu tacie. Ucieszyłam się z tego i pomyślałam, że nareszcie napiję się mleka do syta. Ciocia Regina dodała, że krowa jest cielna i daje dwa litry rano i wieczorem.

– Zobacz, ile nas jest. Wszyscy na tym mleku gotujemy zupę. Jeszcze z tego mleka zbieramy śmietanę.

– Słuchaj Regina – odezwał się mój tatuś – mimo, że mleka jest mało, to Janka będzie piła cały kubek rano i wieczorem.

Sam doił krowę. Zawsze rano budził mnie i musiałam wypić kubek ciepłego mleka. Byłam z tego bardzo zadowolona. Ciocia Grabowska umówiła się ze mną w sekrecie, że będę do niej przychodziła około dziesiątej. Zawsze coś dla mnie przyrządziła do jedzenia.

– Niedługo chudzino, niedługo cię wykuruję – mówiła do mnie.

Na święta Bożego Narodzenia dostała z młyna mąki. Upiekła placek. To była prawdziwa frajda z takiej gościny.

Ludzie jakoś sobie radzili. Chłopcy głuszili ryby minami i wtedy dzielili się ze wszystkimi sąsiadami. Któregoś dnia jeden z sąsiadów wybrał się z synem nad rzekę. Wyjęli zapalnik, mina rozerwała im się i obaj zginęli. Sporo czasu minęło zanim saperzy oczyścili pola z min. W międzyczasie zginęło kilka osób.

Szybko zapomniałam o swoich przeżyciach. Cieszyłam się, że znalazłam się w swojej rodzinie. Martwiło mnie tylko to, że nie było warunków do nauki. Tęskniłam też za mamą, bratem Jankiem i siostrą Stasią. Mama wyjechała na Ziemię Odzyskane. Zamieszkała w Bełczącu, gmina Biała Piska, powiat Pisz.

Czas jakoś mi minął od zimy do lata. Gdzieś w maju chrzestna była razem z moją mamą w Bełczącu. Kiedy przyjechała do Bronowa powiedziała, że mama choruje. Zaproponowała, abyśmy razem wybrały się do niej. Nabrałam ochoty na podróż. Tatusiowi powiedziałam, że pojedę na jakiś czas i wrócę. Przykazał mi, abym wróciła przed 1 września na początek roku szkolnego.

Znalazłam się w Bełczącu. Znowu cieszyłam się, że jestem razem z bratem i siostrą. Wszystkim mówiłam, że pobędę do września i wrócę do Bronowa. Mamusia rzeczywiście miała nerwicę po przeżyciach wojennych. Na mnie więc spadł cały obowiązek gotowania, prania. Miałam wówczas 15 lat. Na gospodarstwie było już kilka świń, dwie krowy. Roboty więc było sporo jak na taką młodą dziewczynę, ale świetnie sobie radziłam. Po jakimś czasie zawieźliśmy mamusię do szpitala do Szczuczyna, bo nie było poprawy. Do domu wróciła po dwóch tygodniach. Była osłabiona. Więcej leżała w łóżku niż chodziła.

Lato szybko minęło. Zaczęłam myśleć o powrocie do tatusia. Mamusia mnie jednak bardzo prosiła, abym została. Miałam już tutaj nowe koleżanki i przywykłam trochę. Zostałam. Miałam wprawdzie wyrzuty sumienia, że zostawiłam tatusia, który się mną opiekował od siedmiu lat. Pojechać tam w odwiedziny nie mogłam, bo nie było żadnej komunikacji. Po jakimś czasie udało mi się namówić koleżankę Henię Piechowską i we dwie wybrałyśmy się pieszo. Henia miała rodzinę w Męckach, niedaleko Bronowa. Wyszliśmy o trzeciej rano, jak zaczęło świtać. Do Bronowa trafiałam akurat na obiad. Kiedy weszłam, wszyscy siedzieli za stołem. Bardzo się ucieszyli z moich odwiedzin. Ja też się cieszyłam, że ich widzę. Ale znowu dał znać o sobie mój życiowy pech. Po dwóch dniach zaczęła mnie rwać pięta. Całą drogę szłyśmy na bosaka, żeby było lżej. Skończyło się na tym, że przez dwa tygodnie leżałam w łóżku. Do pięty przykładali mi rozrabianą glinę i inne różności. Kiedy na nodze zrobiła się żółta plama, przyszedł sąsiad z brzytwą i przerznął mi wrzód. Wymył mi nogę wódką i naciął piętę. Później przykładali mi liście z koloży i po jakimś czasie zagoiło się. Tatus zaczął mnie namawiać, abym z nim została:

– Jasiu, od siedmiu lat jesteś ze mną. Teraz jak tam jest tyle pracy, to cię potrzebują. U nas jest szkoła czynna.

Odpowiedziałam, że jak wrócę, to się zastanowię. Odwieźli mnie wozem do Jurca niedaleko Stawisk i stamtąd już piechotą dotarłam do Bełcząca. Mówiłam mamusi, że tatuś chce, abym wróciła. Mama obiecała mi, że jak wyjdę za mąż, to przepiszą na mnie połowę gospodarstwa. Znowu zostałam. Po jakimś czasie, gdy zaczęły kursować autobusy między Piszem a Łomżą, wybrałam się do Bronowa po raz drugi. Byłam ciekawa nie tylko co się dzieje u taty, ale także czy pani Rogalowa wróciła. Przyjechałam dość rano do Łomży i wybrałam się na przedmieście – do Łomżycy, gdzie mieszkałam. Przyszedłam do tego domu. Był to dość długi budynek parterowy. Zdziwiłam się bardzo, kiedy zobaczyłam, że tam nikt nie mieszka. Okna były pozabijane deskami. Weszłam na podwórko. Okazała się, że i od podwórka okna były zabite. Wszędzie głucha cisza. Popatrzyłam na piwnicę, w której się ukrywaliśmy i poszłam do następnego budynku. Pytałam mieszkańców, czy nie wiedzą coś o losach sąsiadów. Dowiedziałam się, że jak się wojna skończyła, pani Rogalowa z rodziną już tu nie powróciła i nic o jej losach nie wiedzą. Pomyślałam sobie, że przecież dobrze pamiętam domek jednorodzinny, w którym mieszkała pani, która poratowała nas dzięki smalcu. Nie było to w sumie daleko. Weszłam na podwórko. Stał tam stolik i krzeselka. Siedziała ta sama pulchna pani. Zaraz ją poznałam. Ona spojrzała na mnie i mówi:

– Pani pewnie do męża?

– a dlaczego pani tak myśli? – zapytałam.

– Bo przychodzą tu młode dziewczyny do pracy.

– Ja przyszedłam do pani. Chciałam podziękować za smalec, który dostaliśmy od pani. Dała nam pani całą kamienną dzieżkę.

Pani zerwała się żwawo z krzesła i zaczęła mnie ścisnąć. Powiedziała, że wyrosła ze mnie ładna panienska. Już tego dnia nie puściła mnie do Bronowa. Zostałam u nich. Jej mąż pracował jako kierownik masarni. Powodziło im się dobrze. Pani była bardzo dobra i serdeczna dla mnie. Późnym wieczorem zaprowadziła mnie spać. Pościel miałam bielušką w samych koronkach. Zdziwiłam się, że taką

ładną pościel mi przygotowała. Pani odrzekła, że wojna się skończyła i chce, abym poczuła, że doczekaliśmy i dobrych chwil.

Następnego dnia po śniadaniu podziękowałam za wszystko. Takiej gościnności się nie spodziewałam. Pani nakładła mi do siatki dużo smacznych wędlin dla tatusia. Kiedy dotarłam do domu, wszyscy byli zdziwieni, że przybyłam z zaopatrzeniem. Opowiedziałam zdarzenie z czasów wojny. Tym razem tatuś już mnie nie namawiał, żebym została.

– Coś wybrała, to się dopiero okaże, czy dobrze czy źle.

Pobyłam kilka dni w Bronowie. Chodziłam codziennie do Ogrójca koło cmentarza. Była tam postawiona figura Matki Bożej. Modliłam się gorąco dziękując za przeżycie. Widziałam sporo wiosek, ale żadna z nich nie miała takiego bogactwa jak Bronowo. Dawno temu podczas epidemii cholery zwożono ciała na jedno miejsce. Potem usypano tam duży kopiec. Rosły tam piękne drzewa, a pośrodku tego Ogrójca stała przepiękna figura Matki Bożej. Stała na dość wysokiej, wyszlifowanej z kamieni podstawie. Matkę Boską było widać z daleka. Jak mi opowiadał dziadek, mieszkał w Bronowie bardzo bogaty pan i on ufundował tę piękną postać w podzięcie za ocalenie podczas epidemii cholery.

Bronowo było już trochę uporządkowane. Posiedziałam kilka dni u tatusia i wróciłam do Belcząca.